



Polly Horvath, Wyspa

Fragment

Wkrótce zaczęły się rozmowy kwalifikacyjne. Kiedy Sam przywiózł mnie i Jocelyn, a potem panią Mendelbaum, pozwolił nam spokojnie wysiąść z helikoptera. Może to był ukłon w stronę naszej kobiecości, gdyż lokajów traktował jak mleko i spuszczał ich, gdzie popadło, po niezbyt solidnej sznurowej drabince. Gdy Jocelyn i ja przeczesywałyśmy pola w poszukiwaniu części do samolotów, od czasu do czasu słyszałyśmy warkot śmigła, a potem dostrzegałyśmy lokaja – w meloniku i w ogóle. Zaskoczyły nas te nakrycia głowy, ale potem przeczytałyśmy ogłoszenie, które napisała pani Mendelbaum: „Poszukiwany lokaj do wielkiej posiadłości pana Martena Knockersa. Musi być doświadczony. I mieć stosowne odzienie. Włącznie z kapeluszem właściwym dla lokaja”.

Byłam zdumiona liczbą kandydatów. Chyba nie zgłosiłabym się do pracy, w której wymagany jest „kapelusz właściwy dla lokaja”. Powiedziałam pani Mendelbaum, że jej szanse zatrudnienia kogoś z klasą wzrosną, jeżeli nazwie kapelusz melonikiem.

– Wie pani, wiele z tych kapeluszy wygląda na nowusieńkie. Myślę, że kupili je wyłącznie na tę okazję. Sądzę, że ma tu pani mnóstwo nie tyle doświadczonych lokajów, co bezrobotnych kelnerów w nowych kapeluszach.

– Ale fidzisz! Pszyszli. Fszyscy chcą tej pracy – odpowiedziała, wskazując za okno, na kolejnego kandydata, który wisiał na drabince, miotając wyzwiska w stronę pilota. Wygrażał pięścią i miał czerwoną twarz, ale naprawdę nie można go było winić. Tym razem manewr nie wyszedł Samowi najlepiej. Drabinka wirowała na wietrze, osiągając promień dziesięciu stóp.

– Mam nadzieję, że on nie spadnie – powiedziałam do pani Mendelbaum. Piłyśmy herbatę, a ona wyciągnęła listę pytań, którą trzymała w szufladzie kuchennego stołu.

– To nie ma sensu, fszyscy są tacy sami – rzekła.

– Żaden się pani nie spodobał? – spytałam.

– Uni to małe chłopczyki f ubraniach tatusia. Ja potrzebuję mężczyzny, który umie się MARTFIĆ.

Lokaj szybko zmierzał w stronę drzwi, więc wyszłam. Odnosiłam wrażenie, że przez połowę czasu pani Mendelbaum w ogóle mnie nie słucha, a przez drugą – nie rozumie, co mam na myśli. Ale zawsze częstowała ciastem i herbatą.

Skrzywiłam się, widząc po raz pierwszy jej listę pytań. Jocelyn i ja podsłuchałyśmy kilka rozmów kwalifikacyjnych, siedząc przy kominku w salonie. Ich przeprowadzanie bardzo denerwowało panią Mendelbaum i powodowało, że nie tylko dostawała silnego niemieckiego akcentu, lecz także zaczynała mówić dziwną mieszanką niemieckiego i kiepskiego angielskiego: „Zajt wan począł pan pracofać jako lokaj?” oraz „W wifil domach pan był lokajem?”. Ktoś władający niemieckim mógł się domyślić, o co pyta, lecz najwyraźniej nikt nie znał tego języka. Kilka odważnych dusz po próbie nakłonienia jej do przeformułowania pytań poddało się całkowicie i po prostu udzielało odpowiedzi na wyczucie.

– To fszystko idioten – jęczała po ich odejściu pani Mendelbaum.

Co gorsza, wielu kandydatów podczas przesłuchania wciąż trzęsło się po podróży helikopterem i cyrkowym zejściu po drabinie. Pewien dżentelmen, najwidoczniej sądząc – i słusznie – że jego przybycie może być obserwowane, zdobył się na mężny skok z drabinki, ale źle ocenił odległość i wylądował twarzą w wielkiej kałuży, tracąc bezpowrotnie savoir faire. Pani Mendelbaum nic nie powiedziała, dała mu suche spodnie stryja i odpytawszy go niezwykle pobieżnie – przy czym żadne z nas nie miało pojęcia, o co pyta – odesłała gościa na wzgórze, by tam poczekał na Sama. Widziałyśmy, jak dygocze na deszczu przez godzinę, podtrzymując zbyt krótkie i zbyt szerokie spodnie.

– Mogła przynajmniej poczęstować go herbatą – prychnęła Jocelyn.

– Wygląda na to, że szuka w nich jakiejś szczególnej cechy, a kiedy jej nie znajduje, robi się zła – powiedziałam, chociaż nie obchodzili mnie ci ludzie. Chciałam tylko znaleźć sobie zajęcie i nie myśleć.

Przesłuchania lokajów ciągnęły się przez dwa tygodnie. Niektórzy kandydaci radzili sobie lepiej niż inni. Jeden zwymiotował. Niektórzy stracili swoje meloniki, opuszczając helikopter, a potem pisali do stryja z żądaniem ich zwrotu lub rekompensaty.

Stryj, który jak zwykle nie zwracał na nic uwagi, zszedł pewnego wieczoru na kolację i powiedział:

– Co znaczą te wszystkie listy z żądaniem kapeluszy? Lub pieniędzy na kapelusze? Od całkowicie obcych ludzi... Czy to jakaś nowa akcja dobroczynna albo czyjś pomysł, żeby szybko się wzbogacić? Wykiwaj biednego, nic niepodejrzewającego bogacza i zażądaj od niego pieniędzy na kapelusz? Czy to kawał? Cóż, nie dam się nabrać. To bardzo irytujące. – I wrzucił wszystkie listy do ognia.

Oznajmił nam uroczyście, że nie tak łatwo naciągnąć starego Martena Knockersa na kapelusze, i zaraz potem przysiągł, że nigdy nie wyśle nikomu

pieniędzy na melonik, niezależnie od tego, jak przekonująco brzmiałoby uzasadnienie prośby.

Więcej www.wnk.com.pl